ROK I. Maj 1909 ZESZYT VI.

GRYF

Pismo dla spraw kaszubskich.

Wychodzi raz na miesiąc.

Abonament kwartalny w Rzeszy Niemieckiej z przesyłką pod opaską mk. 1.65
Na pocztach Rzeszy Niemieckiej mk. 1,50, z odnoszeniem w dom mk. 1,62

Za granicą wynosi abon. kwartalny: W Austryi 1 kor. 80 hal. z przesyłką 2.20 kor
W Francyi, Belgii, Szwajcaryi: 1 fr. 85 centymów, z przesyłką 2 fr. 25 cent
W Rosyi i Królestwie Polskim: 70 kop. z przesyłką 85 kop.
W Zjednoczonych Stanach Póln. Ameryki: 40 centów, z przesyłką 50 c.

Adres red.: „Gryf," Kościerzyna-Berent Wpr. Wydawca Dr. Majkowski.
Drukiem H. Fellera nast. S. Czyżewskiego w Gdańsku.

Doktor Cejnowa.

(Dokończenie.)

Pomimo najzupełniejszego fiaska, jakie zrobił panslawizm na Kaszubach, Moskale nie mogą się odczepić od Kaszub, uważając bodaj mowę kaszubską za narzecze języka rosyjskiego. Już minister oświecenia Szyszkow znamienne i zapisania godne wypowiedział słowa w liście do Mrongowiusza: „Praca Pańska tak uczona i mozolna interesuje mnie w wysokim stopniu, już to jako zbogacenie filologii w ogólności, już to jako ważny przyczynek do badania r ó ż n y c h n a r z e c z y m o j e j o j c z y s t e j m o w y, która dla swojego rozgałęzienia bez wątpienia najbardziej rozpowszechnionym językiem na świecie nazwaną być powinna." *) Bardzo chodziło i chodzi panslawistom o odgrodzenie narzecza naszego od języka polskiego nową pisownią gdyby murem chińskim.

Redakcya Przeglądu Powsz. odebrała z Pelplina pod dniem 10 lipca 1884 r. z „poważnego źródła" dopisek do artykułu „Panslawizm na Kaszubach" następujący:

„W lecie r. 1880 zjawił się w stolicy Kaszub, w Gdańsku, jakiś p. L......., pisujący artykuły w gazetach też pod nazwiskiem „Zielonka", i zaczął tam czynić zabiegi celem wydawania tygodni-

*) Przedmowa do polsko-niemieckiego Słownika.

ka polskiego. Sp. T. J. z J., z którym się zetknął, doradził mu, żeby owo czasopismo wydawał raczej w Pelplinie w drukarni p. St. R. Ów p. L. zamieszkał następnie w J. jako gość p. T., a po 2 albo 3 miesiącach przeniósł się do Pelplina. Ów tygodnik miał wychodzić pod tytułem „Przedświt". Ale gdy zwrócono uwagę na to, że prostemu ludowi zrozumialszą jest „Jutrzenka", zgodził się na to. Sprawiono też już odpowiednią winietę wedle rysunku malarza artysty p. St. L. Tymczasem oczekiwane każdego dnia z Polski kongresowej czy też z Rosyi kilka tysięcy rubli na wydawnictwo nie nadchodziły. Aby przyspieszyć sprawę, ułożył p. L. program owego tygodnika i przesłał go na to miejsce, zkąd rubli się spodziewał. Ów program, który mi został przeczytany, naprowadził mnie na domysł, że to agitacya panslawistyczna, bo głównym celem owego czasopisma miało być: „budzenie na tych kresach świadomości należenia do wielkiej rodziny słowiańskiej" — tak mniej więcej brzmiał najważniejszy ustęp. Nadszedł r. 1881. Wydawnictwo było już na poczcie zapowiedziane, ale wstrzymanem zostało dla braku rubli. W miesiącu lutym znikł nagle p. L. Dnia 13. marca zabity został car rosyjski Aleksander II. wskutek wybuchu wrzuconej mu pod nogi przez spiskowca bomby. Z niektórych słów p. L., powiedzianych krótko przed wyjazdem, można było wywieść wniosek, że już w grudniu 1880 r. zanosiło się na zmianę polityki rosyjskiej (zamach na cara Aleksandra II w grudniu) i że z tego powodu owych rubli nie nadesłano " O. *) Dla uzupełnienia i to dodaję, że ktoś z Galicyi, ale nie panslawista, zamierzał wydawać gazetkę i książki do nabożeństwa po kaszubsku pisane.

Nasuwa się pytanie: czy panslawiści zaszkodzili Kaszubom pismami swemi? Pośrednio tak! Jakkolwiek wedle przysłowia »kto psa chce uderzyć, kij znajdzie«, z tem wszystkiem bardzo na ę, jeżeli można bezprawie czemś choćby uniewinnić. Wobec petycyi zewsząd, także i z Kaszub, wysyłanych o przywrócenie, języka polskiego w religii, nauczyciele wiejscy w niektórych stronach, osobliwie w Kartuzkiem, rozbierali temat do opracowania i do wygłoszenia na konferencyach: „czy narzecze kaszubskie należy do języka polskiego?" I orzekli wiejscy lingwiści na podstawie pism Cejnowy i Ramulta, iż nie należy, jak z góry żądano.

Jakiż tedy ostateczny rezultat tych dochodzeń? Sąd o Cej-

*) Przegląd Pow. r. 1891.

nowie jest surowy, ale sprawiedliwy, z tem wszystkiem z a s u r o w y, ponieważ są liczne okoliczności, przemawiające za złagodzeniem sądu.

1. Pismami swemi, przepełnionemi wycieczkami przeciwko wszystkiemu, co nam święte i drogie, nie wiele zaszkodził, gdyż nie był czytany.

2. Dola naszej młodzieży jest politowania godną, jest nauka religii po gimnazyach, ale tak urzędowo udzielana i to p r z e z k s i ę ż y N i e m c ó w i p o n i e m i e c k u, że serca nie zagrzewa ani uzbraja dostatecznie przeciw pokusom podczas studjów na akademii, reszty dokonala lektura »filozofów« niemieckich, tak że we wierze zobojętniał a może nawet do czasu ją utracił, tem się tłomaczy jego gadanina na wiarę i Kościół.

3. Z czworga dzieci pozostały dwie córki, obie dobre Polki, choć matka katoliczka Niemka, dotąd żyjąca.

4. Przyjaciół miał dosyć, nawet pomiędzy księżmi, chociaż wielu tylko dla wielkiej oryginalności niebożczyka doń się skłaniało. Na Puckiej kępie, gdzie Sławoszeno, był na jednem probostwie zniemczały ks. Ślązak, który rządowi dawał wskazówki, jak najłatwiej dzieci zniemczyć przez rozdawanie niemieckich książek do nabożeństwa przy pierwszej komunii św. W pośmiertnych papierach jego znalazło się pismo takie. Bijąc w księży, podobno tego proboszcza miał na myśli.

5. Był młody i krewki, coś przykrego zaszło z pewną pacyentką, córką magnata — nie ubito sprawy milczeniem, więc rząd pozbawił go na jakiś czas prawa leczenia, ztąd niechęć do szlachty i hrabiów.

6. Był wielkim miłośnikiem dzieł Mickiewicza. Jako Wallenrod chciał Litwinów oswobodzić od ciemięztwa Krzyżaków, tak Cejnowa pragnął być kaszubskim Wallenrodem, co go zaprowadziło na bezdroża panslawistyczne.

Do kościoła chodził tylko w uroczyste święta. Posłano po księdza, kiedy zaniemógł, ale było już zapóźno. Miejmy nadzieję, że Bóg dobrą chęć za sam czyn przyjął.

Wobec zatrważająej liczby przyjaciół kaszubskiego narzecza nie będzie od rzeczy zacytować na zakończenie mojej rozprawy następującego artykułu:

„Pozwól szan. Redakcyo, że nie będąc Kaszubą, do rozciągnionego dziś sporu o „niedźwiedzią skórę“ Kaszubów dorzucę i moje trzy grosze.

„Gazeta Gdańska“ jest już z założenia swego pismem ludowem. I bardzo jej było dotąd do twarzy. Co za korzyść i dla kogo, że w pismach ludowych składają uczone kukawki, badacze „języków“, jajka swoje? kto je ma wysiedzieć, kto spór o język kaszubski i co za tem idzie, o narodowość Kaszubów rozstrzygnąć, lud kaszubski? A może ten lud polski na Kaszubach, już i tak tu i owdzie oburzony na „badaczy“ jego mowy i uczuć powie: Won sobie wy farbierze, wy fałszerze wiekowej narodowości i skóry naszej! Czy my to dzieci małoletnie, niewolnicy, ludzie bez woli własnej i przekonań?! Chcecie się panowie bawić, badajcie mowy i gwary w książkach i pismach ściśle naukowych, lecz nie ludowych. Czy nasz kraik, który zamieszkiwamy, co dopiero odkryty przez was, wy „sławni Kolumbusi“? Chcecie uchodzić za mężów uczonych, oczytanych, a nie wiecie, jakiejśmy narodowości? Twuj wam „mądrzy“ panowie!Ześmy od wieków Polacy i dziś pomimo odrębnej mowy naszej Polakami się czujemy, otwarcieśmy wszem wobec na licznych wiecach wobecności komisarzy policyjnych wyznawali. Tak np. na wiecu przedwyborczym 18 lat temu w Wejherowie, w Pucku po kilka razy, przeszłego roku w Chylonii, na zapytanie przewodniczącego wieca: „Kim jesteście, Polakami czy Niemcami? „Polakami!“ odpowiedzieliśmy chórem.

Tak zawsze bywało i dziś jest. A tu ni ztąd ni zowąd zjeżdżają się w ostatnich latach co pies szczeknie jacyś tam niby uczeni badacze skóry, serca i duszy naszej, gwałtem chcą w nas wmówić, żeśmy nie Polakami, lecz jakimś tam odrębnym szczepem! może chińskim?

Prawda, że rząd pruski ze względów politycznych wmawia także, ale nie w sie — bo lepiej od p. Ramułta wie, że Kaszuba to Polak — lecz w Kaszubów, że są Niemcami. Wielu z Kaszubów musi w końcu i uwierzyć, że to prawda, co mu urzędnicy pruscy gadają, jeżeli nawet panowie, uchodzący za Polaków, uparcie piszą, że Kaszuba to nie Polak.

Gościłem u siebie — rozumie się szczerem sercem już coś czterech badaczy Kaszub, nie przypuszczając, żeby bliższe zaznajomienie się któregokolwiek z tych badaczy z kaszubskim odłamkiem

Polski, mógł stać się dla ostatniego ujmą, dla całości szkodą. —

W bieżącem lecie przywędrował znowu, poparty z funduszów uniwersytetu, jakiś akademik z Kazania. „W jakim celu — pozwoliłem się go zapytać — pan w Kaszuby przybywasz?“ W celu badania mowy kaszubskiej.“ Aha, pomyślałem sobie, znowu nowa „wiwisekcya Kaszubów! „Panie kochany“, zbywałem już zupełnie zniechęcony, chcesz Pan poprzeć czy odeprzeć p. Ramulta?“ „Właśnie pragnę badać, czy p. Ramułt ma słuszność i na ten temat napisać rozprawę egzaminacyjną.“ Ciekawym, co ten młodzik, powaga zè szkólnej ławy, popisze o Kaszubach? Może i on wtoczy w ich krew polską domieszkę krwi indyjskiej lub japońskiej. Te ciągłe w ostatnich latach powtarzające się badania Kaszubów, jakby zwierza przedpotopowego, jest wodą na młyn naszym najserdeczniejszym. Kalkulują oni tak: Zapoznany od własnej braci Kaszuba uwierzy w końcu i sam, że jest rzeczywiście Niemcem, jeżeli mu nawet „Polaki“ wmawiają, że nie jest Polakiem.

Kaszubi są cząstką Polski tak dobrze, jak „Chełminiacy“, „Michałowscy“, „Borowiacy“, „Feteracy“, „Kociewiacy“, „Ślązacy“. Jeżeli odrębna mowa, gwara Kaszubów, miałaby być dowodem, że Kaszuba to nie Polak, wtenczas i Kociewiak i Feterak itp. nie Polacy, albowiem tu i tam, tam jak tu, mówią językiem odrębnym.

Słyszę 30 lat mowę kaszubską, znam odcień mowy polskiej w Galicyi, w Chełmińskiej, w Kociewiach, Feterakach, w Poznańskiem itp, twierdzę więc z doświadczenia, iż najpoprawniej, gramatykalnie, książkowo po polsku, mówią właśnie Kaszubi. Kociewiak np. Feterak mówi: „szedł pies bez owies, suka bez tatarkę“, albo jestem przez chleba“. Albo: „dwa baby umarli.“ Kaszuba nigdy przenigdy tak błędnie nie mówi. Kociewiak: preli, gadeli, jecheli, a powiedz Kociewiakowi, Borowiakowi: nie jesteś Polakiem! to cię w mordę lunie, że się nogami przykryjesz. Dziecinna to więc paplanina, jakoby odrebność w mowie stanowiła o odrębności narodowej.

Przysłuchaj się, jak mówi domorosły „kusznejder“, mieszkaniec z nizin tczewskich „Kortke“, z Gdańska lub z Berlina po niemiecku. Co za odrębność językowa, że się nawet sami Niemcy między sobą, jakby pod wieżą babilońską, porozumieć nie mogą. — A nie sąż to jedni i ci sami Niemcy?! *)

*) Gazeta Gdańska r. 1899 — Nr. 129. „Kaszubszczyzna.“

Ks G. Pobłocki.

Z niepisanej literatury kaszubskiej.

BAJKI KASZUBSKIE.

Bojka o zbujcu Czorlińscim.

(Dokończenie.)

Nostarszy zbujca, jak sę dowiedzoł, jacim sposobem Czorlińsci okrodł żeda, nie zabiwsze go, pochwoleł go barzo i rzek:

— Z cebie je taci dobry złodzyj, jak jo sę nie spodzewoł. Ale jutro pokożesz, cze te po prowdze co umniesz. Tu mosz dwadzesce talarów. Za te kupisz jutro w miesce: za 20 talarów wóz i konia, za 20 talarów chleba, za 20 talarów mnięsa, a 20 talarów przewiezesz nazod. —

Corlińsci odrzek, że to mu nie je nic. Tak on sę wzął i na drudzi dzeń szed do miasta. Na drodze on trafieł chłopa, co w jednego konia z wozem jachoł do miasta. Pochwoliwsze Boga, Czorlińsci sę chłopa zapytoł, cze on chce konia i wóz przedac. Chłop odrzek, że jo. Tak Czorlińsci mu bedowoł 20 talarów, a chłop wóz i konia za to przedoł.

— Ale piniędzy jo cy niedom! — rzek Czorlińsci. Jidz le do miasta, tam mieszko muj brat balbierz, ten ce 20 talarów zaplacy! —

Tak chłop bel kontant i szed.

Tero Czorlińsci wecąn konia i zajechoł do miasta prosto do piekarza. Tam on kozoł so na wóz wladowac za 20 talarów chleba. Po zopłatę on kozoł piekarzowi jic do swygo brata, co je balbierzem w mniesce.

Potym on zajachol do rzeznika. I tam on so kozoł za 20 talarów mnięsa wladowac, a rzeznika po zopłatę posłoł do swygo brata balbierza.

Nareszce on zajachoł do kaczmarza. Tam on so kozoł za 20 talarów piwa wladowac, a jak on chcoł zopłatę, tak Czorlińsci rzek, że noprzód muszy piwo posmakowac. Na to kaczmorz sę zgodzeł. Tak Czorlińsci wząn swider, taci gruby jak palc, wewierceł w jednym dnie beczci durę i w drudzim, a nareszce odjął dużą propkę z westrzodku i rzek:

— To piwo mo trze smaci. Wezle włóż palce w oba dure w dnach i tero posmakuj.

Kaczmorz mnioł palcami dure zamkły i nimog jich więc wecygnąc, bo bełobe mu wszetko piwo ucekło.

A Czorlińsci tymczasem pojachoł so do dom. Ale z balbierzem on ju też mioł wszetko ugodany, co on mioł zrobic, ciejbe do niego przeszle po zopłatę.

Jak więc przeszed ten chłop do balbierza, chteren to Czorlińscimu przedoł wóz i konia, i chcoł mniec 20 talarów, tak balbierz rzek:

Ju jo wiem, co za zopłatę te mog dostac. Te mosz miec głowę ogoloną! —

I wząn i mu głowę ogoleł na samą skórę.

Tede przeszed piekorz po zopłatę. A balbierz mu zaro rzek: Tobie jo werwię wszetci zębe, cobes móg chleb twuj lepij grezc! I wząn i werwoł mu wszetci zębe.

Nareszce przeszed rzeznik i żądoł swoję zopłatę, 20 talarów, ale balbierz mu rzek:

— Jo ce tu zaro zapłacę, jak tym dwuma przed tobą. Te jes zbujca i mosz to miec wepolony na łesenie!

I wepoleł mu na tym miescu na łesenie, że on je zbujca. —

Tero oni trzei lamańtowele.

— Tero kożdy mie na łesenie czetac będze, że jo

jem zbujcą, — jisceł sę rzeznik.

— Jak jo mom tero jesc, ciej jo nimom zębów? — płakoł piekorz. —

— Moja szkoda je nowiększo! — lamantowoł chłop, — bo jo konia i woza sę pozbeł i za to jesz mom głowę ogoloną! —

Ale to jim nic niepomogło.

Tymczasem Czorlińsci zajachoł do swych zbujców i przewioz za 20 talarów konia i woz, za 20 talarów chleba, za tyle mięsa, za tyle piwa i jesz oddoł 20 talarów.

Za to go ten noweższy zbujca srodze chwoleł. Ale Czorlińscimu mierdzeło ju u tych zbujców. Więc on jich opusceł i szed do króla, abe mu złwiec.

Ale ty zbujce ju miele królowi barzo dokurczony. Dlo tego król Czorlińscimu rzek, że do mu wiele piniędzy, żeli on mu jich stawi. —

— To może bec! — rzek Czorlińsci.

Tak on kozoł so dac dwa żniwny woze pełne piwa i jednygo chłopa. Z tymi on zajachoł do zbujców. Ty sę barzo uceszyle, a jesz barżyj, ciej ujrzeli dwa żniwny woze, naładowany beczkami piwa. I zaczęna sę srogo pijateka. Jak oni sę tak upile, że nimogli na nogach stojec, tej sę pokładle, chdze kożdy beł i usnęle, jak pnie.

Ale Czorlińsci tyle niepieł, a swymu chłopu też tyle nie doł pic, tak że ta pijateka jich niezmogła. Jak tede wszesce zbujce spele, tej oni wzęle i pozwiązele wszetcich powrozami i nakłedle jich na te woze, z chternymi oni jim tego piwa przewiezle. Tede zaprzęgle konie i dalij ze zbujcami do króla.

Po drodze coroz jeden z tych zbujców odecknie, ale nimogli sę ruszec, bo bele pozwiązany. Czorlińsci ale

wząn sę i ucek, nim do królewscigo zomku zajachele, bo sę bojoł, be go nie zdradzyle, że on też beł w jich kompanii.

Jak tede dwa żniwny fóre zbujców przejechałe do króla, ten kozoł jich zaro przeprowadzec do sę. Tej on sę zapytoł:

— Chto z waju je tym noweższym? Na to ten noweższy zbujca westąpieł i rzek: Jo to jem!

Tede król w swoim gorzu kozoł wszetcich zbujców zabic, le tego noweższego on ostawieł prze żecu, ale kozoł mu ocze wepolec.

Tak jak on ju mioł ocze wepolony, zaczął on gadac:

— Tak to mie lecho jidze. Jo meszloł, że jo beł nomądrzeszy ze wszetcich zbujców, ale Czorlińsci je chytrzeszy zbujca niżle jo. —

Jak król uczuł tę mowę, tak on go sę pytoł, chto to nen Czorlińsci je? Tej mu zbujca wszetko o nim opowiedzoł i dodoł, że on o sebie (nibe Czorlińsci) do jeszcze czuc.

Czorlińsci ale ucek i poszed w służbę do mniemieccigo ksędza.

Jak on tej z tym ksędzem szed roz we wieczór na szpacer, zrobieła sę cemno noc, a Czorlińsci rzek:

— Dzys be beło dobrze piniędze krasc! — Tak nen mniemiecci ksądz odrzek:

— A chdze be te chcoł piniędze krasc? — A Czorlińsci powiedzoł:

— Jo wiem, chdze je wiele piniędzy, a to je na królewscim zomku. — Pódzma! —

Tak oni szle. Czorlińsci wloz do murowanyj komore bez okno, a piniędze werzucoł. Jak on ju mioł dosc werzucone, tej weloz i poszle dodom.

Na drudzi dzeń reno, jak król poszed do swoji skorbnice, tej uzdrzoł, że wiele piniędzy beło precz. Tak on zaczął lamańtowac i szchalowac, ale nen slepy zbujca rzek:

— Tego nicht jinszy nie zrobieł, jak Czorlińsci! —

Na to król se srodze rozgorzeł i chcoł dac szukac Czorlińscigo swoim żołnierzom, ale ten slepy zbujca rzek:

— Na ten sposób we, królu, nie dostaniece go, bo n je za chytry. Ale dejce w murze do wajij skorbnice robic taką dużą durę, cobe chłop mog przez nię przelezc, a za tą durą zrobce głęboci dół i postawce obok żołnierza z toporem. Jak on przyńdze cos krasc i wetchnie łeb, tej niech mu go żołnierz od razu utnie. —

Ta rada zdała se królowi dobro, i tak też uczenile.

Minęło tak porę dni, a zoden złodzyj sę nie ukozoł.

Jaż jednygo dnia rzek nen predych do Czorlińscigo:

— Podzma dzys znowu do zomku piniędze krasc! —

Ale Czorlińsci odrzek:

— Jo dzys niejidę, bobe mogło nom jic zle! —

Ale predych sę uwzął i szed som.

Ledwo on głowę przez durę wetk, ju żołnnierz, co tam czatowoł, ucął mu ję jak głowę kapuste, i beło po nim. Głowa ale wpadła w nen głęboci doł i tam też ostała.

Nad ranem, jak królowi dele znac, że złodzyj beł w noce krasc i tero je zabity, obezdrzele so trupa predycha, ale nicht go nie poznoł, bo beł bez głowe. Tero oni nie wiedzele, je to Czorlińsci abo nie. Ale nen slepy zbujca rzek:

— Jo nie wierzę, żebe to beł Czorlińsci. Taci on głupy nieje! Ale włóżta cało na wóz i obwiezta po mnie-

sce przed kożdy budynk. Ciej kobieta tego złodzeja to cało uzdrzy, tej ona zacznie beczec, a potym poznota, chto on je i chdze on mieszko. —

Tak też oni zrobile i obwozyle cało po mniesce. Jak oni przejechele do budynku, chdze mieszkała żona predycha, tej ta go poznała po obucu i zaczęna krzyk robic. Tej oni ję chcele chwytac, ale Czorlińsci przeskoczeł, zakłoł sę szedłem w duży palec i rzek:

— Co wa chceta? Kobieta krzyczy, bo jo jem szewc i sę ukłołem szedłem w palec, a ona nimoże na krew patrzec! —

Tak oni mu uwierzyle i jechele z niczym do króla nazod.

Tak król sę bardzo zafrasowoł. Ale nen slepy zbujca doł taką radę:

— Wezta tego trupa i zawiezta go pod szubinicę. A postawta kole nij szesc żołnierzy. Czorlińsci przyńdze, be trupa pochowac, bo on nimoże tego zniesc, żebe trup niepochowany leżoł. A jak on przyńdze, tej niech go żołmnierze chwecą. —

Tak też uczynile. Szesc żołmnierzy odwiezło trupa pod szubinicę i czekele, jaż sę cemno noc zrobieła.

Tej zjawieł sę i Czorlińsci. Ale on beł za babę przesztelowany i mnioł ze sobą szesc obuców biskupich.

Żołmnierze mnieli so odziń zrobiony i sę prze nim grzele, a jak uzdrzele kobietę, to jij dele poku, bo równak oczekiwele Czorlińscigo. Tak ta nibe baba rzekła do nich:

— Jo mom jesz daleką drogę, a jem srodze zmarzłą. Dejta mie sę zagrzoc prze wajim ogniu, jo wama za to dom też po cieliszku wódci. —

Oni sę na to zgodzyle i wepile też tyj wódci. Ale

ledwo oni wszple, ju jim sę tak zachcalo spac, że usnęle drewnem gorącym. Jak oni spele, tej Czorlińsci wzął, scygnął jim żołmniersci ruchna i obuł jich w biskupi szate i tej doł jim dalij spac. Potym pochowoł tego trupa i szed precz.

Nad ranem żołmnierze sę zbudzyle i widząc, że trupa nima, szle nazod do króla. Król prawie beł po frysztekn i zdrzoł przez okno. Jak on widzoł szesc biskupów jidących do zomku, wząl on chyże korunę na głowę i berło w rękę i weszed jim przed dwierze naprocem.

Ale to niebele żodny biskupe, le ny żołnierze, chternych Czorlińsci tak przesztelowoł.

Tero ten slepy zbujca rzek:

— To nieje niczyja sprowka, le Czorlińscigo! Ale wezta i posepta przed zomciem piniędzy na zemni. On nie utrwo i przyńdze je zbierac i tej go chwecta. —

Tak król kozoł przed zomciem posepac piniędzy. Ale Czorlińsci wząl so posmarowol smołe pod bóte i szed wedle zomku i piniędze mu sę lepiełe do botów. I tak oni go znowu nie dostele.

Tak król, be nareszce uchwecec Czorlińscigo, nie wiedzoł jinaczyj, le rozgłoseł po całym mniesce, że wszesce chłope miele przyńdz na zomk i powiedzec swoje przezwisko. Tak on mesloł sę dowiedzec, chto miedze nimi będze Czorlińsci. Ale Czorlińsci szed do wszetcich chłopów i doł kożdymu po sto talarów (bo wiele piniędzy mioł nakradłych) i kozoł jim rzec, że sę nazewają Czorlińscimi.

Jak tej wszesce chłope stanęle przed królem, tak sę wszesce nazewele Czorlińscimi.

Tak król nie wiedzoł so rade i widzoł, że on żodną miarą Corlińscigo nie złapi. Tak on rzek:

Chto miedze wami je ten prowdzewy Czorlińsci, ten

niech westąpi dobrą wolą. Wszetko mu będze darowany. Bo on je taci mądry chłop, że nicht jinszy nimo po mojij smierce królestwem moim rządzec, jak on. A za żonę jo mu dom moję jedyną córkę! —

Na te słowa króla Czorlińsci westąpieł i rzek: To jo! — I królowoł długo po smierce starygō króla, bo beł barzo mądry i nicht go w niczym nie oszukoł. A z królewionką oni weprawile duży weseli, a jo też tam beł, bo tam dało wiele kapuste i jażdżów i grochu.

Pieśni kaszubskie.

I.

1. Miał pewien ojciec trzy córy,
Nie wiedział, ile dać której.
A gdy tę pierwszą wydawał,
Trzy tysiące jej mianował:
Córulo moja daję ci,
Nie opuszczaj mnie do śmierci.

2. A gdy tę drugą wydawał,
Dwa tysiące jej mianował:
Córulo moja, daję ci,
Nie opuszczaj mnie do śmierci.

3. A gdy tę trzecią wydawał,
Zielony wianek darował:
Zielony wianek daję ci,
Nie opuszczaj mnie do śmierci.

4. A nasza matka w grobie śpi
Naszego głosu nie słyszy,
A nasz ojczulek staruśki,
Jako gołąbek siwuśki.

5. Poszedł do pierwszej i płakał
I tak żałośnie narzekał:
Już ja nie mogę nic robić,
Nie dajże ty mnie żebrać iść.

6. Ta skoro ojca uzdrzała,
Zaraz mu powróz podała:
Kiedy nie możecie robić,
To idźcieże się powiesić.

7. Poszedł do drugiej i płakał
I tak żałośnie narzekał:
Ja już nie mogę nic robić
Nie dajże ty mnie zebrać iść.

8. Ta skoro ojca uzdrzała,
Zaraz mu kija podała:
Kiedy nie możecie robić,
Możecie jeszcze żebrać iść.

9. Poszedł do trzeciej i płakał:
I tak żałośnie narzekał:
Ja już nie mogę nic robić,
Nie dajże ty mnie żebrać iść.

10. Ta, skoro ojca uzdrzała,
Zaraz mu chleba podała:
Skoro nie możecie robić,
Dzieci będziecie mi bawić.

(Rotębark.)

II.

1. Daleko szeroko
Listeczki na klonie,
Któż mnie pożałuje
W tej dalekiej stronie.

2. Ojciec mnie odumarl,
Matka starusienka,
Brat na wojnę jechał
Siostra malusienka.

3. Ażebym ja była
U swej mamy dłużej,
Wyglądałabym ja
Jako wianek róży.

4. A teraz wyglądam
Jak biała lilija,

Wyjdę na góreczkę,
Wiater mnie podwija.

5. Wiater mnie podwija
Wiater mną szamoce,
Ach, mój najmilejszy
O mnie się kłopoce.

6. O mnie się kłopoce,
O mnie się frasuje,
Żadnego słóweczka
Odemnie nie czuje.

7. Żadnego słóweczka
Ani żadnej myśli. —
Ach, mój najmilejszy
Już o innej myśli.

8. Niechże sobie myśli,
Nie będę mu bronić,
Wyjdę na góreczkę
Jak mu będą dzwonić.

9. Wyszła na góreczkę
Usłyszałą dzwony
Ach. mój najmilejszy
Do grobu-wieziony.

10. Niechajże go wiozą,
Ja żem tego chciała,
Aby żadna inna
Pociechy nie miała. (Juszki.)

III.

1. Pani Matko gosce jadą! —
A na cimże oni jadą?
Murawiec na byku
Jego brat na wilku,
A muj najmilejszy
Na pięknym koniku.

2. Pani matko, co oni będą jesc? —
Murawiec wierzbinę,

Jego brat kozlinę,
A twuj najmilejszy
Smaczny pieczynie.

3. Pani matko, chdze oni pudą spac?
Murawiec na ławę,
Jego brat pud ławę,
A twuj najmilejszy
W piękny łóżeczko.

4. Pani matko, czym oni sę nakryją?
Murawiec chodaciem,
Jego brat korczociem,
A twuj najmilejszy
Piękną pierzyną.

5. Pani matko, gosce dzękują.
A jak oni dzękują? —
Murawiec czapkę zdjąn,
Jego brat ż — wepiąn,
A muj najmilejszy
Pięknie sę ukłonieł.

Nigde do zgube nie przyńdą Kaszube.

Obrazek z Kaszub. Napisał . . .

(Ciąg dalszy)

Nikt tego wieczora nie płacił. Przyszło więcej wieczorów, pili i jedli u Różka, a nikt nie płacił. Szkapa Wojtka już po raz drugi musiała odstąpić część swojej ozdoby do smyczka Lali. Zima przeszła na muzyce, jedzeniu i piciu, jakby batem trzasł.

Zdarzało się, że gbur zgadawszy się z sąsiadem, pomacał się po brzuchu, oświadczając:

— Żodnyj zeme jo jesz o tyle pasa nie popusceł, jak latos!

— Dobry kaczmorz! — odpowiedział sąsiad. — Szkoda, że on prędzyj uńdze niż przeszed.

I śmieli się obaj jak augurzy. —

Już trzy wieprze wisiały w formie kiełbas na suficie, albo raczej szczątki po nich. Z niepokojem karczmarz Horn spoglądał na ginące zapasy.

Minęła i św. Matka Gromiczna, skowronki jęły śpiewać, wiosna się zbliżała a z nią najgorszy czas dla gbura.

Komu na Kaszubach wyjdzie wtenczas za wcześnie albo pasza albo kartofle, o tym mówią sąsiedzi, że doń zawitał „Jochem."

Nazwę tę nadał, jak mówią, niemiłemu temu gościowi pewien gbur, który pojechał do miasta kupić kartofle i paszę. Było to na wiosnę. Wiozącego kartofle i paszę spotkał znajomy i pytał zdziwiony, co wiezie. Gbur obawiając się obmowy, że źle gospodarzy, powiada: Żyda Jochema z towarem! —

Wydało się atoli, jaki to był Jochem. A po dziś dzień, Jochem — to używany ogólnie terminus technicus, którego znaczenie fatalne znane.

Otóż na wiosnę nie było tajemnicą we wsi Czorneżu, że u karczmarza siedzi Jochem. —

Ktoby też na długo taką gospodarką mógł się utrzymać! Lala grał, aż smyczki liniały, a ludziska jedli, pili i — tyli.

Kiedy Horn rozesłał rachunki, karczma jakoś opustoszała. Tylko Lala przybywał regularnie, ale nie miał już komu grać. Grał więc Ojcu św., duszyczkom w czyszczu i murzynowi.

Pewnego dnia podczas Lalowej muzyki, kiedy innego gościa prócz co dopiero wymienionych nie było w karczmie, zawitał jakiś gość z urzędową czapką, który się przedstawił jako komornik sądowy. Pan ten z niebywałą ciekawością oglądał cały dom i każdy sprzęt w nim się znajdujący. Porozlepiał na kilku przedmiotach niebieskie pieczątki i nareszcie zbliżył się do Lali, pytając, czy też skrzypce, flet i bas są własnością Horna.

— Nie, to są nasze! — odparł Lala.

Potem gość, zimno się pożegnawszy, odjechał.

Wizyta, co dopiero ukończona, nie bardzo się widocznie spodobała Hornowi, bo wyszedł niebawem na izbę z grubym, sękatym kijem. I stała się dziwna rzecz. Zamiast się rzucić z owym kijem za odjeżdżającym natrętem, wpadł jak opętaniec jaki na Lalę i towarzyszy.

Lali, który po pierwszem osłupieniu zaczął się zasłaniać potężnym smyczkiem, przeciął Horn ten przyrząd na dwoje, wybił basowi dziurę w brzuchu, skaleczył skrzypce i wyrzucił biednych muzykantów nareszcie za drzwi.

Ruiny kapeli Czornieskiej, głośno zawodząc, ciągnęły przez wieś. Pierwszy ich spotkał Wojtk.

— A cóż sę wama stało?

— Różk naju weporajeł, bo go dzys fantowele! —

— To go fantowele?

— A jakże! Ale cuż ma temu winny, abo naju insztrumańta?

— Oj, doł on nom polsci miare za naju grani! — lamentowali towarzysze Lali.

Wojtk zaś ich pocieszał:

Będzta le cecho! Nie uńdze to mu suchym pęciem!

IV.

Wysunięty w czysto kaszubską wieś posterunek niemiecki zaczął się chwiać. Widzieli to dobrze ci, którzy Horna czyli Różka na plac ten wysunęli. Różk nie znał obchodzenia się z Kaszubą, a kiedy skarżąc się przyszedł do wojta, ten, od dłuższego czasu urzędując w tych stronach, od razu przejrzał politykę Czorniežan czyli ściśle mówiąc landrata Doraby.

— Dług swoj oni zapłacą! — rzekł on Hornowi. Lecz kiedy, w tym tkwi sęk. Wiedzą, że nie masz kapitału i chcą ciebie zmusić, ażebyś znowu karczmę odprzedał dawniejszemu właścicielowi i poszedł od nich precz. Skarż ich coprędzej, abyś jak najprędzej wydusił z nich coś grosza. —

Skoro skarżę, to cała wieś przeciw mnie powstanie, bo musiałbym wszystkich skarżyć.

To skarż znaczniejszych! —

Rozciągną proces w nieskończoność, bo powiadają, żem ich na wieczory zapraszał. A zaproszony gość nie płaci! —

Ah, niegodziwość polska! —

Ani chwili tym dwom pionerom niemczyzny nie wpadło na myśl, że niegodziwość tkwi właśnie po ich stronie. Że byt karczmarza Horna wyrośnie na krzywdzie Wojtka, który wracając z walki o ich wielkość, z ojczystego mienia został wyzuty; że tak zwana niegodziwość polska Czornieżan była tylko jedynym skutecznym sposobem w obronie swego współrodaka, nie chwalebnym ze stanowiska etycznego, zrozumiałym atoli z trybu samozachowawczego. Fif za fif! powiedział Doraba, — co znaczy: Podstęp za podstęp!

Takie myśli nie powstały w głowach tych dwóch ludzi, z których wójt zaciekle gryzł wąsa, drugi zaś ponuro patrzył w ziemię. —

— Firmy, które mi dostarczyły towaru, nie chcą czekać! — zaczął znowu Horn. — Raz już mnie fantowano. Za cztery tygodnie najdalej wszystko przepadnie!

— Nie masz może przyjaciela, któryby ci pożyczył? —

— Nie mam tu nikogo, bo wiecie przecież, że pochodzę z Pomeranii! — I w nagłej wściekłości dodał:

— Djabli niech porwią tych, co mnie tu sprowadzili!

— Nie przeklinaj, panie Horn! Jesteś żołnierzem na przedniej straży. Wytrwać twoim obowiązkiem. Nasi obmyślą środki, aby podeprzeć takich jak ty. Tymczasem atoli nic ci pomódz nie mogę.

Jest to wasze ostatnie słowo? —

Tak! — A pamiętaj, że żołnierzowi umrzeć na posterunku chwałą, uciekać wieczną hańbą!

Horn odszedł, wójt zaś już wiedział, dokąd jego droga pójdzie.

Zadumał się głęboko.

Twardy naród i chytry. — Ha! padnie jeden żołnierz. Popchniemy drugich w ogień — lepiej uzbrojonych. —

Pewnego dnia przyjechał Doraba do Horna!

Horn go przyjął bardzo ponuro i wprost nieprzyjaźnie!

— Wiem jo, Różku, że Jochem u cebie sedzy! — zaczął landrat Doraba.

Horn ale wybuchł:

Wszyscy wy oszukańcy i złodzieje! — Darmo was żywiłem przez całą zimę, a teraz mi podstawiacie nogę, wy hołota kaszubska!

Mało ludzi widziało Dorabę w uniesieniu. Zachowywał on w trwodze i wesołości swoją powagę, niezmąconą jak jeziora ziemi kaszubskiej w białych nocach księżycowych. Tak dalece ale ubodły zelżywe słowa Horna tego prostego oracza i rybaka, że porwał się jak niedźwiedź dziki, podniósł wielką ławę, stojącą u pieca, na której sześć chłopa mogło usiąść zimową porą plecami do ciepłego pieca, i zamierzywszy się nią nad głową Horna, zawołał głosem zmienionym od wściekłości:

— Na Matkę noswiętszo! Mów, że to nie je prowda, cos rzek, bo ubiję cę na tym miescu, jak sobakę!

I stanął nad nim, wysoki i straszny. A Horn nie wątpił ani chwili, że wypełni swoją groźbę. Więc trwoga zimną falą uderzyła mu w serce, nim atoli zdołała mu ubezwładnić kolana, rzucił się w tył do alkierza, obok izby i szybko drzwi za sobą zatrzasnął. I tak uszedł śmierci, która go w tych progach minąć nie miała.

Doraba zaś jeszcze chwilę stał w zajętej postawie. Potem z ogromnym trzaskiem spadła ława na podłogę, a Doraba, mocno sapiąc jak pijany, opuścił karczmę.

Nikt go tego wieczora nie widział we wsi.

Nazajutrz zjawił się Wojtk.

Horn był mrukliwym, jak zawsze w ostatnim czasie, lecz wobec Wojtka trochę się rozpogodził. Czy może czuł, że właśnie jemu wyrządził największą krzywdę, pozbawiając go kawałka chleba? —

Wojtk miał interes, a bardzo ważny podług swego mniemania. Więc nie umiejąc robić długich wstępów, zaczął:

— Różku, chcesz te mie moję karczmę nazod odprzedac?

Horn dziko wejrzał na Wojtka: T w o j a karczma? Tymczasem je ona moją. —

— No, niech i tak będze! Chcesz te mie twoję karczmę odprzedac?

Nie! — szorstko odparł Horn.

Wojtk był zdziwiony. Wszak wiedział, że Horn tylko że wisiał. Lada chwila groziła mu subhasta. Mniemał więc, że Horn chce się tylko targować, więc zaczął:

— Nie utrzymosz sę u naju, Różku! Sprzedadzą cę na subhasce i jesz stracysz. Jo cy bem zapłaceł nawetk i więcyj, niżle te mie doł. Naszy gburzę też cy zapłacą, skorno pudzesz od naju precz, bo boją sę grzechu.

— A tymczasem chcą dac sę skarżec. — Złodzeje! Kto tu złodzejem? Boczże, Różku, co mówisz! Cze ma cebie do sę prosyle?

— Każdy karno sę broni przed wilkiem. Te jes mnieme, ma są polsci. Ma tu jak jedna rodzena we wse, ciej jednymu sę dzeje krzywda, wszesce sę burzą. —

— Pasem waju całą zemę, a te godosz o waszyj krzywdze.

— Mnie te zrobieł krzywdę, mnie! — krzyknął Wojtk.

Służełem kròlowi, jak te. Bielem sę z Francuzem jak te. Podatci płacę jak te. Ojc muj i praojc sedzele na tyj karczmie, a jo prawem boscim i ludzcim ję dostoł w spodku. Jesz kurz zemi francuscij sedzoł na myj skórze a dym prochu w moich włosach, ciej odebrołem cerogrof, co mię pozbawieł chleba. Czeko na mie potcewo dzewczyna, z chterną chcołem dzelec dach i strawę na stole. A teżes wsod w to gniozdo, jak gróbel w gniozdo jaskółci. Komu tu krzywda? —

Horn milczał ponuro!

Wojtk się zmitygował:

— Mnijże rozum, Różku! Cuż ce to wszetko pomoże. Joc zapłacę dobrze. I wyńdzesz od naju jesz z dobrym zarobciem. Isc te tak a tak muszysz.

— A jo niepudę! I Różk wstał i rąbnął pięścią w stół. — Nein, und tausendmal nein!!

Wojtk także wstał:

— Chto nie słucho dobryj rade, niech słucho psy skóre! Bogu cę oddaję, Różku! —

Dziwna to była ta zawziętość Horna. Czy on się uważał za żołnierza na forpocztach? Czy on też powiedział sobie pod adresem swych protektorów: Postawiliście mnie na stracone miejsce, niech wina za wszystko na was spada? —

Jaki tam powód był, dość, że Horn już nawet o gości nie dbał, bo pewnego dnia ci, którzy przyszli do karczmy, znaleźli wszystkie drzwi zamknięte na klucz. Na pukanie nikt nie odpowiedział. Wieczorem nie było światła w oknach, które jakoś ponuro czarnymi źrenicami patrzyły na wieś. Nawet Wojtkowi, który przyszedł zaś targować z Hornem, własna jego karczma, w której się przecież rodził i urósł, wydawała się jakąś obcą i stra-

szną. Rzekł sobie atoli w duszy, jako i inni: Pewnie Różk poszedł chdze na wies po deci!

W nocy nastała burza straszna, jakiej ludzie od dawna nie pamiętali. Wieśniacy, słysząc żałosne przeciągłe wycie wichru, strześli się, nim wleźli pod pierzynę i żegnając się krzyżem świętym, niejeden rzekł:

— Wieje, jakbe sę kto powiesel!

I psy wyły strasz!iwie przez całą noc!

Nazajutrz przyjechał Doraba do Wojtka!

Już na drodze wiejskiej witali go ludzie:

— Różka nima! On gwesno chdze jachoł po deci! Do Mniemców!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Książki i Czasopisma.

1. Mitteilungen des Vereins für kaschubische Volkskunde. Im Auftrage des Vereins herausgegeben von Dr. F. Lorentz und J. Gulgowski, Heft III. Leipzig. Otto Harrassowitz 1909.

Trzeci zeszyt »Mitteilungen« przedstawia się bardzo korzystnie, a to głównie z powodu pracy J. Gulgowskiego o domkach gburskich na Kaszubach, illustrowanych tablicą z 8 różnymi typami domów podcieniowych. Razem z pierwszą częścią tej pracy, drukowanej w II-im zeszycie »Mitteilungen«, przedstawia się ciąg dalszy, zawarty w niniejszym zeszycie, jako całość, obejmująca domy podcieniowe, więc możemy przystąpić do jej omówienia, i to szczegółowego, na jakie tak praca sama jako i rzecz zasługują bezsprzecznie.

Praca nosi tytuł: „Das Bauernhaus in der Kaschubei“ (Domy gburskie na Kaszubach), ale jak ze wstępu już wynika, Autor ogranicza się na pewne tylko i charakterystyczne formy, dzieląc typy domów na 1) chaty z podcieniem czyli wystawkiem w szczycie 2) chaty z wystawkiem w boku 3) chaty kurne 4) tak zwane domy szlacheckie.

Już na podział taki nie pisalibyśmy się bez zastrzeżenia, gdyż wynikałoby z niego, że poza chatami wystawkowymi nie

istniały inne formy chat, mianowicie bezwystawkowe, jak tylko »tak zwane domy szlacheckie« Czyżby Autor wszystkie typy bezwystawkowe, które bezsprzecznie równocześnie z wystawkowymi istniały, chciał podciągnąć pod kategoryę „domów szlacheckich"?

Oczekujemy jeszcze ściślejszego określenia tego ostatniego typu i to z wielką ciekawością, gdyż nie słyszeliśmy jeszcze wśród ludu takiego terminu na oznaczenie pewnego typu chałup.

»Ogólny pogląd«, z którym Autor rozpoczyna swą pracę, zdradza znajomość rzeczy. Nadmienia n. p., że obok ociosanych bierwion znajduje się w starszych budowlach z drzewa budowę z nieociosanych okrąglaków. Opisuje przejście z budowania wieńcowego w nowszą formę ramowego, zna dokładnie materyał, sposób kładzenia dachu słomianego, podział domu, zawsze atoli w odnoszeniu do typu wystawkowego. Brak Autorowi atoli poglądu na gienezę, na powolne wytworzenie się typu obecnego chaty gburskiej. —

Nie ulega bowiem wątpliwości, że chata ludu naszego rozwinęła się z form dawniejszych pod wpływem zmian społecznych, klimatycznych, gospodarczych. Tak samo jak ciało zwierzęce w czasie swego rozwoju z zarodka do ustalonej w naszej dobie formy nosi ślady dawniejszych swych form, które stopniowo utraca, tak że nareszcie z trudem ich ślady wynaleźć można, tak i chata ludzka w dzisiejszej formie dla oka, które w jej formach czytać umie, zdradza niejeden szczątek dawnych konstrukcyi i form, które obecnie zdają się być czemś zbytecznym. Wszak jeszcze dzisiaj z drzewa budowana koliba huculska, ośmiokątna, zdradza swoje pochodzenie od okrągłego namiotu stepowego. Tu drzewo nagięło się do formy bardzo jego naturze niewygodnej. Niedługo atoli dając się gwałcić, podyktował długi prosty pień cisu i sosny w słowiańskich ziemiach ludziom formę czworoboczną, która przetrwała do dni naszych.

Pierwsze takie czworoboczne chaty oczywiście były kładzione z okrąglaków nieociosanych, stosownie do nierozwiniętej umiejętności obrabiania drzewa. Ażeby wtedy na czterech rogach się trzymały mocno, łączono je tam na tak zw. z r ą b i w y r ą b, sposób, który u starszych chat w zapadłych stronach Polski dziś jeszcze obserwować można.

Wiązanie pni „na zrąb i wyrąb" polega na tem, że krzyżu-

jące się na węgłach pod prostym kątem pnie wychodzą każdy w swoim kierunku o kawałek po za węgieł. Tam, gdzie się krzyżują, jest „wyrąbione“ wyżłobienie, na które kładzie się krzyżujący okrąglak odpowiednio wyżłobionym „wyrębem“.

Tak powstaje powoli ściana domu, podczas gdy na rogach tworzą się schodzące się pod kątem prostym dwa grzebienie, złożone z wystających końców okrąglaków. Części te, integralne tymczasem, węgłów, wystawione na wpływ słońca i deszczu, zaczynają próchnieć, przez co dom traci na spoistości. Więc człowiek, wydoskonaliwszy powoli swą sztukę obrabiania drzewa, ucina te końce wystające a łączy na węgłach obcięte już pnie w szczelnie chwytające się zęby, na tak zwany z a m e k, przez co powstaje węgieł ostry i gładki. Taki sposób techniki budowniczej w drzewie spotykamy dziś niemal wyłącznie na Kaszubach, podczas gdy w wschodniej Rosyi jeszcze istnieje budowanie starsze na „zrąb i wyrąb.“

Rozumie się, że i niektóre chaty kaszubskie noszą jeszcze ślady dawniejszej, prymytywnej techniki. Tak np. stoi po dziś dzień jeszcze w Tuszkowach (pow. kościerski) chata, która na dwóch węgłach budowana na „zrąb i wyrąb“, podczas gdy dwa inne (od frontu) rogi są złączone na „zamek.“

Gdyby Autor „Domów gburskich na Kaszubach“ z tego punktu patrzał na dzisiejszą chatę kaszubską, toby mu nie wydarzył się taki lapsus, jak na str. 65 zeszytu II „Mitteilungen“, gdzie mówiąc właśnie o wystających na węglach końcach belek, rudymentów opuszczonej techniki dawnej, jak wykazaliśmy powyżej, — twierdzi, że zrobiono tak, „um den nützlichen Mäusevertilgern die Möglichkeit zu geben, von draussen her auf den Bodenraum zu klettern.“ (Aby pożytecznym tępicielom myszy dać sposobność wejścia z zewnątrz na poddasze).

O ile znamy stosunek Kaszuby do zwierząt swych domowych, szczególnie do kota, to musimy wyznać, że tyle względów on by nie wziął na to bez wątpienia pożyteczne zwierzę, ażeby przy budowie chaty pomyśleć o ułatwieniu mu roboty. Więc już i z tego względu tłomaczenia Autora przyjąć nie możemy.

Tak samo stanowczo wystąpić nam wypada przeciw twierdzeniu Autora (Zesz. III. str. 88), jakoby frankońscy koloniści, przywołani przez Krzyżaków, nadali naszej kaszubskiej chacie pod-

cieniowej swój charakter. Twierdzenia takie podniósł budowniczy B. Schmidt z Malborga w piśmie „Die Denkmalspflege“, Roczn. IX, Nr. 7; Berlin, 20 maja 1907, a Autor w formie, jak przyznajemy chętnie, nieśmiałej, przyłącza się do tego zdania. Sprowadziliśmy sobie odnośny numer tego pisma i spostrzegamy z dziwieniem, że B. Schmidt, porównując chatę kaszubską z Wdzydz (z wystawkiem przez cały bok idącym) z chatą niemiecką z pod Bischofswerder (?) w dawnej Pomezanii i konstatując ich pokrewieństwo, uczynił to z tym samym prawem, z którymby można podobieństwo stwierdzić pomiędzy ulem a balią. Chata niemiecka jest o wiele większa, pod dachem jednym mieści się mieszkanie gospodarza i stajnia dla bydła, a wystawek jest z boku przyczepiony, jakby coś obcego. W chacie Wdzydzkiej natomiast wystawek tworzy część integralną chaty, na słupach wystawka opiera się szczyt, a miejsca dla bydła już nie ma, bo Kaszuba z reguły nie mieszka z nim pod jednym dachem.

Dziwi nas, że Autor, skądinąd znawca i zasłużony około ludoznawstwa na Kaszubach, mógł się pisać na zdanie Schmidta. Przypuszczać przecież nie chcemy, jakoby chciał mały ukłon zrobić w stronę tych, którzy Słowianom nie przyznawają żadnych właściwości twórczych na polu kultury, tłumacząc wszystko dodatnie wpływem niemieckim.

Przystąpmy teraz do typów chat wystawkowych, podanych przez Autora. Jest ich 8. Do każdego typu jest podany rys poziomy i doskonała ilustracya podług zdjęć, przeważnie przez Autora samego zrobionych. Obrazek nr. 5 z Bożąmęką na przodzie zdradza wprost oko artysty. Natomiast przy rysach poziomych odczuwamy brak dokładnych rozmiarów. Są one koniecznie potrzebne, jeżeli zważymy, że pierwotnie dom szlachcica różnił się od chłopskiego tylko większemi rozmiarami.

Za mało też zdaniem naszym Autor zaakcentował odrębność typu chaty w Leśnie (przy Brusach) od reszty podanych typów. Chata ta bowiem okazuje wielką odrębność od znanych nam chat kaszubskich nie tylko w szczegółach, ale i w całym układzie. Komory bowiem czyli alkierze nie znajdują się po bokach izby, jak to się zazwyczaj widzi, ale zajmują koniec przeciwny od wejścia, przypominając rysem poziomym rozkład świątyń starogreckich

i komory grobowej w Karleby. Oprócz tego slupy wystawkowe łączą się z poprzeczną belką nie zastrzałami, których wiązanie jest z zewnątrz widocznym, ale czopowanymi podporami.

Niemożemy się też zgodzić na hypotezę Autora, podług której chata w Wyrównie (str. 95, zesz. III i ilustracya nr. 7) pierwotnie miała podcienie w rogu. Same porównanie odnośnych rozmiarów przeczy temu.

Autor sam powiada, że praca jego nie wyczerpuje wszystkich typów. Słusznie! Znany nam jest cały szereg odmian chat wystawkowych, z których wynika, że Kaszuba okazywał wielką samodzielność i twórczą rękę przy budowaniu swej chaty, czem upadają wszelkie twierdzenia takie jak Schmidta, jakoby kolonista niemiecki nauczył Kaszubę dopiero budować po ludzku.

Co do pracy atoli Gulgowskiego, to jest ona mimo tego, co nam w niej krytykować wypada, walnym krokiem naprzód w pracy nad poznaniem ludności kaszubskiej i czynem uznania godnym. Jest to pierwsza praca, która obejmuje pewną grupę chat kaszubskich i bez wątpienia przyczyni się niemało do wykorzenienia fałszywych pojęć o wytworczości szczepu kaszubskiego.

Prócz pracy Gulgowskiego zawiera zeszyt III. Mitteilungen krótsze studyum O. Knoopa o »Bielbogu" i »Czernobogu" na Pomorzu. Potem zbiór przyslów z Chmielna, podanych przez p. Pintusa, i zwroty językowe z okolicy Wejherowa. Dalej »raczbę" na wesele kaszubskie i recenzye.

Rozmaitości.

Bojkot Sopotu a hakatyści. Kiedy zeszłego roku Warszawianin ryzykował obicie lub splunięcie pogardliwe w twarz, jeżeli na dworcu kolejowym na zapytanie: dokąd? odpowiedział: do Sopotu!, żal i gorycz mogły napełnić każdego, kto kocha kresy nasze kaszubskie. Cóż bowiem bojkot Sopotu, z takim nakładem energii i zapału propagowany, oznaczał innego, jak powtórzenie w drobnych rozmiarach tego, co Kazimierz Wielki uczynił układem w Wyszehradzie 1335 r., odstępując Pomorze krzyżakom?

Gdybyśmy zresztą wszyscy z powodu nieprzyjemnego sąsiedztwa z hakatystami opuszczali posterunki, to cóż by się z kresami kaszubskimi stało?

Z uznaniem też podnosimy, że część opinii publicznej z Kuryerem Poznańskim na czele od początku wystąpiła stanowczo przeciw bojkotowi Sopotu. Żywimy też i w interesie Kaszub nadzieję, że część tej opinii nareszcie zwycięży.

Na razie mogłoby się wydawać, jakoby zwolennicy bojkotu mieli słuszność. Kiedy bowiem komornicy sądowi w Sopocie jęli przepowiadać ogólną plajtę, a mieszkania właścicieli wil świeciły pustkami, nuże niemieccy Sopocanie na tamtejszą grupę hakatystów, że wystraszeniem Polaków własnych ziomków rujnują. I jak zawsze, interes pieniężny zwyciężył sprawę „ratowania" niemczyzny. Dowodem tego ciekawa zarazem i wesoła odezwa zarządu grupy lokalnej Sopockiej związku dla kresów wschodnich [Ostmarkenverein], zamieszczona w dodatku do nr. 107 Danziger Neueste Nachrichten z d. 8 maja rb.

Po długim wstępie, najeżonym fantastycznym gadaniem o wrogich zamiarach Polaków, dążących rzekomo do oderwania od państwa pruskiego już nie tylko prowincyi polskich, ale całej połaci od prawego brzegu Odry na Wschód, po karkołomnym uzasadnieniu ustawy o wywłaszczeniu, następnje właściwy cel, — bardzo pokorne oświadczenie: „. . . . grupa lokalna Sopocka wyraża życzenie, ażeby mieszkańcy Sopotu, przeważnie duchem narodowo-niemieckim ożywieni, którzy w przemyśle szukają źródło swego utrzymania, w lecie przyszłym jako i w dalszej przyszłości, przez możliwie liczne przybywanie gości kąpielowych i innych, czy to Niemców czy Polaków, znaleźli obfity zarobek — i oświadcza, że naprzeciw tym ostatnim w żaden sposób przykro się nie postawi. [Wird letzteren in keiner Weise störend entgegen treten.] Grupa lokalna Sopocka uważa za rzecz naturalną, że ze strony administracyi miejskiej tak samo, jak i ze strony mieszkańców wszystko się uczyni, co bez zaparcia się niemieckości uczynić można, ażeby szczególnie Polakom, szukającym tu wytchnienia lub rozrywki, pobyt uczynić przyjemnym ..."

Współczujemy grupie lokalnej Sopockiej »Ostmarkenferajnu«,

uprzytomniwszy sobie, ile potu i zgrzytania zębów musiało to ją kosztować, nim przeszła przez jarzmo kaudyńskie i zdobyła się na takie uprzejme zaproszenie znienawidzonych Polaków w granice zagrożonego rzekomo przez nich państwa pruskiego. A jakżeż to będą świecić oczyma w przyszłym „dniu niemieckim!" Co to nie może business!

Cała sprawa w każdym razie dowodzi, że na gruncie Sopockim zbiega się interes nasz z interesem miasta i jego ludności. Wobec tego i hakatyzm ustąpić musiał na plan drugi. Jesteśmy też zdania, że skutek taki byłby się dał osiągnąć i bez bojkotu kosztem o wiele tańszym. Nie ulega bowiem wątpliwości, że przez bojkot i Polacy ucierpieli, szczególnie kiełkujący przemysł polski w Sopocie został cofniętym o szereg lat wstecz.

Co się atoli stało, to się nie odstanie. Mamy nadzieję, że w bieżącym roku przybędą rodacy liczniej niż kiedykolwiek na brzeg polski Bałtyku. A jeżeli obok tego znajdą czas odwiedzać Kaszuby w głębi prowincyi, będą o sobie mogli powiedzieć: Pro patria est, dum ludere videmur.

Kwestya kaszubska a Rosyanie. Dziwna rzecz, ci sami Rosyanie, którzy głównie się przyczynili do upadku Polski, pierwsi zwrócili uwagę na szczep kaszubski, tworzący jej dostęp do morza. Podczas kiedy nawet w sąsiedniej Wielkopolsce, nie mówiąc o dalszych dzielnicach, nie wiedziano o wiernym ludzie, trzymającym straż nad Bałtykiem, w pierwszej połowie XVIII stulecia zawiązały się stosunki świata naukowego rosyjskiego z pastorem gdańskim Mrongowiuszem czyli Mrągą, i to po wyjściu z druku w r. 1823 Słownika polskiego Mrongowiusza, poświęconego przez autora ks. Adamowi Czartoryskiemu. Dwa lata później rosyjski uczony Keppen umieścił (w czerwcu 1825 r.) wzmiankę o Słowniku Mrągi w „Bibliograficzeskich Listach" (Nr. 18, str. 250—251) *) i zwrócił uwagę na „uzasadnione życzenie gdańskiego uczonego, aby który z językoznawców przyjął na siebie pracę zwiedzenia wszystkich wsi kaszubskich i zebrania ginących powoli z oblicza ziemi resztek staro-wendyjskiego języka, używanego przez tak zwanych Krabatków." (Ma być: Kabatków. Red.)

Zdaje się, że Keppen w tym razie Kabatków nie liczył do

*) Patrz W. A. Francew, Słowiańskie zamietki. Warszawa 1908.

Kaszubów.

Już 23 lipca pisze hr. Rumiańców do Mrągi przesełając zarazem 200 rubli na cele podróży po Kaszubach i zebranie wiadomości co do języka i obyczajów kaszubskich. W tym samym czasie przewodniczący rosyjskiej Akademii Nauk A. S. Sziszkow znosi się listownie z Mrągą w sprawach językowych. Od tego czasu aż do śmierci Cejnowy nie ustaje kontakt pomiędzy światem uczonym rosyjskim a wybitnymi działaczami na Kaszubach. W r. 1839 odwiedza Kaszuby rosyjski lingwista Piotr Iwan Prejs, obcując w Gdańsku z pastorami Mrągą i Borkowskim. Latem r. 1856 odwiedza Kaszuby młody slawista Hilferding w towarzystwie Cejnowy i Jana Paplońskiego. Cejnowa sam zaś był uczestnikiem zjazdu Słowiańskiego, odbytego w Moskwie r. 1867. Stosunki Rosyan z Cejnową trwały aż do jego śmierci. Ale nawet ze śmiercią Cejnowy nie urwały się stosunki pomiędzy Rosyanami i Kaszubami. Cesarska Akademia Nauk w Petersburgu wydała w ostatnim czasie pracę bawiącego od szeregu lat na Kaszubach lingwisty dr. F. Lorentza, pomiędzy którymi „Slovinzische Grammatik"*), „Slovinzische Texte" i nieukończony dotychczas „Slovinzisches Wörterbuch" są wprost pomnikowemi dziełami. — Tyle gołe fakty.

Zaraz atoli od początku zainteresowania się Kaszubami ze strony Rosyan zauważyć się daje wśród odłamu społeczeństwa na Kaszubach podejrzliwa opozycya przeciw takiej niby opiece. Nie dziw. Rosya odegrała wobec Polski rolę grabarza. Nie dowierzano więc i uczonym rosyjskim, chociażby ich zamiary były rzeczywiście czysto naukowymi. Wskutek takiego sposobu myślenia działacze kaszubscy, którzy weszli w stosunki z Rosyanami, nie uszli posądzeń, jakoby zaprzedawali ojczyznę Rosyi i byli odszczepieńcami sprawy polskiej. Takie zarzuty padły przedewszystkiem pod adresem Mrągi i Cejnowy, a świeżo znalazły wyraz w omówionej przez nas już w I nr. „Gryfa" broszurze Kościńskiego, zatyt.: „Idea słowiańska na Kaszubach."

Dla braku materyału dowodowego nie mogliśmy wówczas, omawiając broszurę Kościńskiego, wystąpić przeciw szczegołom, rzucającym tak ujemne światło na Mrągę i Cejnowę. Nadesłana nam atoli przez autora, p. W. A. F r a n c e w a broszura „S l a w i a n s k i j e z a m i e t k i" daje nam pewien materyał do ręki w celu odpar-

*) Slovinzisch - słowiński. Słowińcami zwią się najdalej na zachód wysunięci Kaszubi, mieszkający nad ujściem Łupawy.

cia zarzutów, wymierzonych wobec wymienionych obu pisarzy. Oczywiście Francew broni przeciw twierdzeniom, w broszurze Kościńskiego zawartym, w pierwszym rzędzie rosyjski świat uczony, i to przed zarzutem, jakoby Rumiańcow, Sziszkow, Keppen, P. J. Prejs mieli inne zamiary na Kaszubach, prócz czysto naukowych. A wywody jego, jak na wiasem dodajemy, naszym zdaniem mają racyę za sobą. Trudno bowiem rozumieć, jakie cele polityczne mogliby mieć Rosyanie na Kaszubach, oddzielonych od Rosyi Litwą i krajem pomiędzy Niemnem i ujściem Wisły.

Dla nas przedewszystkiem jest ważnym, że z upadkiem zarzutu dążeń politycznych ze strony Rosyan względem Kaszubów, upada i ciężki zarzut przeciw Mrądze i Cejnowie, jakoby ojczyznę zaprzedawali Rosyi.

I zarzut ten ubił naszym zdaniem Francew broniąc rosyjskich uczonych.

Jakżeż bowiem wątpić o patryotyzmie polskim Mrągi, jeżeli on przesyłając księciu Adamowi Czartoryskiemu pierwszą część swego słownika polsko-niemieckiego, pisze tak: Życzę ...., żeby praca moja ozcekiwaniom Pańskim odpowiedziała, którą starałem się nie tylko potrzebom obydwóch narodów z sobą obcujących dogodzić, l e c z oraz c a ł k o w i t e m u u p a d k o w i m o w y o j c z y s t e j t u z a p o b i e d z! *)

Rosyjski lingwista P i o t r I w a n P r e j s w liście z Berlina z dnia 27 kwietnia 1840 tak się o nim wyraża: „Z uczonych z zadowoleniem wspominam szlachetnego starca, zwiącego się Mrongowiuszem, znanego polskiego leksykografa. Jestem jemu bardzo obowiązanym względem osiągnięcia swego celu. M i ł o ś ć j e g o d o s w e g o p r z e d m i o t u p r z e w y ż s z a w s z e l k i w y r a z." (Ljubow jego k'swojemu predmietu przewyższajet wsjakoje opisanie.) **)

(Dokończenie nastąpi.)

*) W. A. Francew. Sławiańskije zamietki. Str. 6. **) Patrz tamże.